

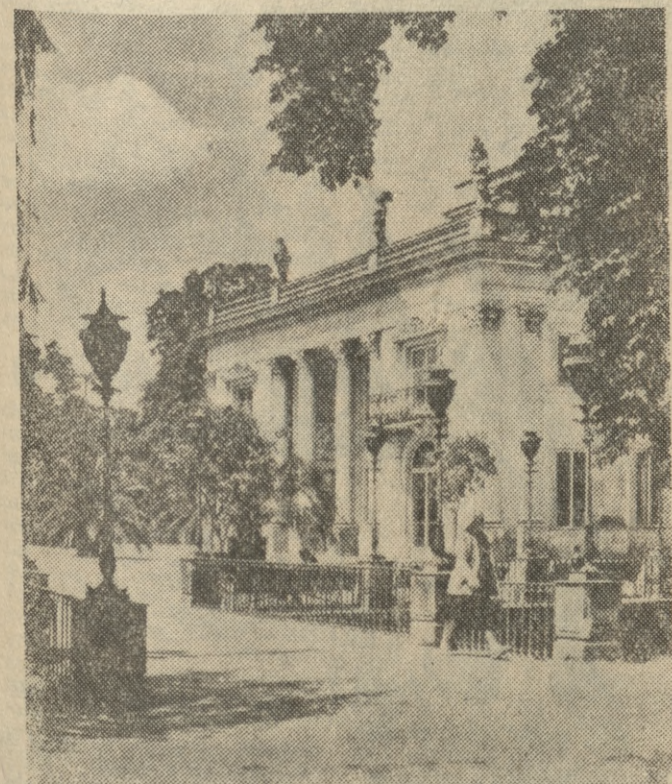
Uchwały VII Plenum KC PZPR wytyczają przesłanki dla nowego okresu w polskim życiu politycznym, społecznym i gospodarczym. Są one jednocześnie wskaźnikiem orientującym naród, w jakim kierunku będzie szedł rozwój naszej kultury i sztuki, jakimi drogami pójdzie naprzód polska nauka i technika. Plan 5-letni — którego wytyczne zostały zebrane w specjalnej uchwale Plenum — jest przecież nie tylko nowym okresem budowy i przebudowy naszej gospodarki, ale także nieodzownym i koniecznym członem rozwojowym naszej współczesnej kultury.

Wiele dobrych i słusznych zamierzeń zrealizowano także w okresie planu 6-letniego — nikt przecież i rozsądny temu nie zaprzeczy. Budowa nowych teatrów i sal koncertowych, wielka akcja upowszechniania kultury poprzez świetlice i zespoły amatorskie różnego typu, zwracanie uwagi na zapomnianą i pomijaną tematykę w literaturze, plastyce i muzyce, słuszną i celową odbudowa wielu zabytków architektonicznych w rodzaju warszawskiego Starego Miasta, poznańskiego Starego Rynku, czy Katedry — oto niektóre osiągnięcia kulturalne, uzyskane w ciągu ubiegłych lat. Warto je przypomnieć, podobnie, jak trzeba pozytywnie ocenić uczciwość i szczerą, choć nie zawsze udaną pracę pisarzy i artystów, aby tworzone przez siebie dzieła i wartości kultury uczynić własnością całego narodu.

Niemniej ubiegły, 6-letni okres przyniósł polskiej kulturze narodowej wraz z nie lada sukcesami również poważne szkody. Myślę, że warto się nad nimi zastanowić, ponieważ ocena tych szkód ułóżmy sobie przedmiotem z wyjątkiem i postulatami, jakie wysuwamy pod adresem polskiej kultury w nadchodzącym 5-leciu.

Brak główny — to dyletantyzm w tworzeniu i upowszechnianiu kultury. Wesoło już (nie wiem, czy najlepszy) zwrócić uwagę na przyczynę wielu upadków literatury i sztuki w ubiegłym 6-leciu uważa się komendowanie pisarzami i artystami, popychanie ich w górę, apodyktycznie narzuconym kierunkiem. Wydaje się, że w takim sformułowaniu zła skutek zostaje omyłkowo poczytany za przyczynę.

Jeśli przyjrzymy się uważnie rozwojowi postępowej kultury ludzkiej — przekonamy się, że przypadające w nim okresy mecenasów i mecenatów — tak ładnie i słusznie nazywa się bowiem mądre kierowanie sztuką — jasno zazwyczaj, a nie pomurno, zapisują się we wdzięcznej pamięci potomnych. Dla wydobycia pełnej wartości tego wielkiego mecenatu, jaki nad naszą kulturą winno sprawować całe społeczeństwo wystarczą zatem mądrość i uczciwość kierujących i kierowanych: kierujących — aby błędnym rozumieniem pragnień i potrzeb twórców i odbiorców kultury nie tamowali jej swobodnego



Odbudowany ze zgliszcz pałac króla Stanisława Augusta w Łazienkach w Warszawie.

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 19 VIII 1956
Rok VII Numer 32

Zbigniew Pędziński

Sprawa serdecznie bliska

rozwoju; kierowanym — aby swoich prywatnych gustów, a raczej guścików, nie uważali za jedyne sensowne normy estetyczne, których naruszenie musi niechybnie doprowadzić do zagłady polskiej literatury i sztuki.

Dla spełnienia takich życzeń konieczne jest zatem upowszechnianie kultury wśród ludzi kierujących nią, tworzących i odbierających wartości literackie i artystyczne. Oczekujący nas okres budowy kultury narodowej nie może się stać — jak to nieraz dawniej bywało — terenem, po którym hulają różne urzędnicze i nie-urzędnicze autorytety, chroniące się pod bliżej nieokreśloną etykietką realizmu socjalistycznego lub innych sloganów, w które zamieniono skądinąd nie-raz szacowne i cenne pojęcia i terminy. Sprawy kultury muszą być zastrzeżone w pierwszym rzędzie dla tych działaczy, twórców, czytelników, widzów i słuchaczy, którzy się znają i — co więcej — którzy się pasjonują współczesną literaturą, plastyką, muzyką i dalszymi. Niechby stała się ona na miarę czasów i ludzi, wśród jakich żyjemy. Przyszłe 5 lat musi być okresem zamkniętym dla tych, którzy przez swój dyletantyzm, niewiedzę, nieuczciwość na sprawy i prawa literatury i sztuki mogą je odeprzeć od odbiorcy lub wepchnąć na manowce ideowe i artystyczne.

Jest pewne zdanie, które od pewnego czasu powtarza się niestrudzenie we wszystkich artykułach, omawiających niedociągnięcia i pomyłki w naszej polityce kulturalnej: *za kulturę nie biją*. Słowa to bardzo przykre i smutne — ale często prawdziwe w odniesieniu nie tylko do polityków i działaczy społecznych, ale i do postawy twórcy. Zakorzeniło się u nas w ubiegłych latach — a rodowód tej brzydkiej skłonności sięga aż czasów przedwojennych — przyzwyczajenie do traktowania ogólnych problemów i szczegółowych zagadnień kultury z pewnym — czasem mniej, czasem bardziej starannie ukrytym — lekceważeniem i niedbałością. Bardzo lubimy „psioczyć” na to, że mamy kiepskie filmy i złe sztuki współczesne, że po atrakcyjną lekturę trzeba sięgać nie do Brandysa i Konwickiego, ale do Kraszewskiego i Jeża, że z głośnika radiowego rzadko po-

plynie oprócz muzyki takie słowo, które przykuje naszą uwagę — ale nie czynimy zazwyczaj najmniejszych wysiłków, aby nekające nas braki i błędy spróbować jakoś usunąć i naprawić.

Tymczasem — cóż właściwie oznacza postulat demokratyzacji naszego polskiego życia w zakresie kultury? Właśnie uczynienie z literatury i sztuki, architektury i muzyki sprawy serdecznie i blisko obchodzącej nas wszystkich — sprawy, za którą winien odpowiadać nie tylko minister Kuryluk, Kazimierz Brandys czy Ksawery Dunikowski — ale robotnik, nauczyciel szkoły podstawowej i student uniwersytetu. Im więcej takich głosów zabrzmi w wielkiej dyskusji nad sprawą polskiej kultury współczesnej — tym więcej jest szans na to, aby z naszego dorobku w tej dziedzinie korzystał i radował się każdy myślący Polak.

Jest pewne słowo, które ni- by czarodziejski talizman i zaklęcie przewija się w każdym rozważaniu na polskie tematy kulturalne. Tym słowem — krytyka, termin działający na jednych jak zaklęcie wywołujące natychmiast złego ducha — wroga klasowego — na drugich jak cudowne lekarstwo, potrafiające przemienić Przybosa w Mickiewicza, a Obywateli na Trylogię pisaną ku pokrzepieniu serc. Tymczasem prawda o rzetelnej i uczciwej krytyce między tymi dwoma krańcowymi stanowiskami leży sobie spokojnie w samym środku naszej współczesnej kultury.

Wytknięcie i ocena błędów w kierowaniu, tworzeniu i upowszechnianiu kultury ma

tylko wtedy konstruktywny sens, jeśli nie jest ani pesymistycznym załamaniem rąk, ani hura — optymistycznym lekceważeniem istniejących niedomogów i trudności. Uprawa przez każdego z nas, a nie tylko przez zawodowców, krytyka musi mieć charakter istotnej i uczciwej pomocy w budowaniu nowej kultury, poprzez wskazywanie drogi wyjścia z manowców ideowych i artystycznych, na które zbacza nieraz dzisiejsza literatura i sztuka.

Liczy się tutaj głos każdego, komu kultura nasza jest bliska i kto chciałby ją widzieć jak najwspanialej świadcząca o czasach, w których żyjemy. Ale taka krytyka wyrasta najczęściej z wielkiego, samodzielnego przedzierania się przez gąszcz zagadnień ideowych i artystycznych literatury i sztuki — z ciągłego pomniejszania niewiedzy o problemach istotnych dla szczególnie ulubionej dziedziny kultury, którą niewątpliwie posiada każdy z nas. Taka krytyka rodzi się zatem z cierpliwego i konsekwentnego pokonywania dyletantyzmu, pokonywania zaręczniałego, apriorycznego wyrokowania o trudnych i zawitych problemach współczesnej literatury, plastyki i muzyki.

Jeśli w przyszłym 5-leciu kultura, składająca się na nią wysiłki pisarzy, plastyków i architektów, muzyków i działaczy oświatowych, staną się dla wszystkich ludzi w Polsce sprawą bliską — naród nasz zapisze na pewno w dziejach nowożytnych literatury i sztuki jedną piękną kartę. A zależy to od bardzo prostego czynnika: ABYŚ I TY, CZYTELNIKU, PRZYŁOŻYŁ SWEJ RĘKI DO BUDOWY OBY NAIPIĘKNIJSZEGO GMA-CHU NASZEJ KULTURY NARODOWEJ.



Odbudowana ulica Piwna na Starym Mieście w Warszawie

Ludwik Gomolec

O „śpiewanych” i ulotnych gazetach poprzedniczek prasy w Wielkopolsce

Historia prasy i dziennikarstwa jest bardzo długa. Jej początki sięgają czasów starożytnych. Za pierwowidy prasy przyjmuje się powszechnie rzymskie „Acta diurna” („Wypadki dnia” — „Nowiny”). Były one pisane ręcznie i zawierały obwieszczenia publiczne, przemówienia urzędników, wyroki sądowe, wiadomości o zjawiskach atmosferycznych itp. Rozwój jednak dziennikarstwa przypada na czasy Odrodzenia. Ciekawość publiczności zaspokajano „żywymi dziennikami”, to jest mówionymi. Tę rolę spełniali już w średniowieczu wędrowni śpiewacy. W czasach Odrodzenia rozwinęły się ręcznie pisane gazety w formie rozsyłanych listów. Ta forma dziennikarstwa przetrwała nawet do połowy XIX wieku w tych krajach, gdzie każda liberalniejsza myśl była tępiąca przez rządy absolutno-feudalne, a na łamach oficjalnych czasopism pojawiać się nie mogły ze względu na ostrą cenzurę prasową. Do takich krajów zalicza-

ły się w większości państwa niemieckie czy włoskie.

Nazwa od weneckiej „Gazzetta”

Pierwsze początki takich stałych pisanych gazetek napotykamy we Włoszech w XVI wieku, zwłaszcza w Wenecji. W roku 1586 w mieście tym sprzedawano to czasopismo za drobną monetę, zwaną *gazzetta*, stąd poszła nazwa na codzienne nowiny polityczne. Sprzedawano tutaj tak gazety ręcznie pisane jak i drukowane.

W Polsce najstarszą, znaną gazetą pisaną były „Nowiny od Księcia Podolskiego z Wiednia” z roku 1568, zachowane w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

W latach 1557 do 1660 spotykamy pierwsze ślady prasy w Poznaniu i Kaliszu. Pojawiły się tutaj, równocześnie z gazetami pisanymi, tak zwane awizy (relacje), kilkukartkowe druki ulotne, wydawane z okazji ważniejszych wydarzeń politycznych lub o szerokim rozgłosie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że do powstania i rozwoju u nas prasy przyczyniło się nowinkarstwo religijne i walka polityczna szlachty z możnowładztwem w XVI wieku. Do takich najstarszych drukowanych w Wielkopolsce doręcznych „nowin” zaliczają się:

1 „Nowiny spraw Zjazdu Szrzedzkiego elekcyey deputackiej. Poznań, Jan Wolrab, 1590”;

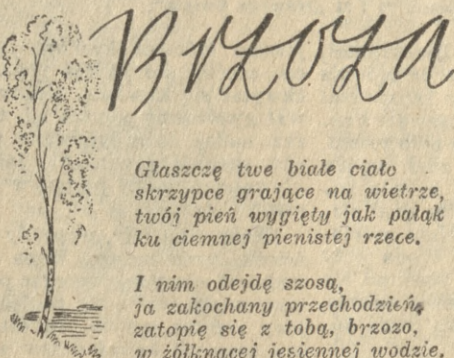
2 „Opisanie spraw zjazdu Szrzedzkiego Elekcyey Deputackiej. Które w sobie ma dostateczną sprawotę wszystkich spraw Seymu przeszłego Warszawskiego Anno 1590... W Poznaniu cum licentia Superiorum, drukował Jan Wolrab Anno MDXC.”

Najstarsze, znane nam „Nowiny” pisane pochodzą w Poznaniu z 1567 roku. Posiadają one bardzo długi i wymowny dla czasów reformacji tytuł: „Jak to Pan Bóg na własną karcę a na pohybel heretykom ukarał w Poznaniu w dniu Wszystkich Świętych Roku Pańskiego 1567 Starostę Gen. Wielkopolskiego, gdy kąpiel sobie sposobił i jak w tymże świętym dniu dzwon z rozkazem heretyka Stan. Górki, dziedzica Kórnicka, przez bluźnierczych jego pachołków na armacie topiony, w niebo na ognistych skrzydłach ulatując, pacholki one ogniem poraża śmiertelnie”.

Najstarsza awiza w języku polskim ukazała się w 1557 r. Od tego czasu aż do 1648 roku

(Dokończenie na str. 2)

Józef Ratajczak



Glaszczę twe białe ciało
skrzypce grające na wietrze,
twój pień wygięty jak pałak
ku ciemnej pienistej rzece.

I nim odejdę szosą,
ja zakochany przechodząc
zatopię się z tobą, brzozo,
w żółknącej jesiennej wodzie.

Julian Rynowicki

* * *

Słońce nie wita mnie jak twarz ukochana
schylona z ustami do pocałunku
księżyc wieczorem
mgłą się zastania
tesknotą daremną i smutną.

Dzień w cztery strony świata wklejony
i w cztery ściany zamknięty kona
blekitnie i białe
w samotne godziny
rozpięte dla mnie na tarczy zegara.

Z ramion uchodzi wizja najdroższa
i uśmiech tylko przesyła z dala
Może nie uśmiech
może tak przeszła
wciąż obojętna, jasna, nieznana.

Z młodej poezji poznańskiej

Eugeniusz Wachowiak
W ogrodzie

Gdybym cię zdybał wietrze,
jak ślów łamiesz galezie
To bym cię po młynarsku
W kołowrót śmigł uwieził.

Jak pajac z warjetejski
Huśtałbyś się na śmigłach
Aż do zawrotu głowy
Kręciłbyś się jak fryga.

W zamian za dymu puchy
Wodę byś w górę ciągnął
Pełnymi rur kregami
Niegorzej wodociągu.

Ja przed zachodem słońca
Kwiaty bym nią podlewał
A ty byś nam kuplety
Na śmigłach, wietrze, śpiewała.

DZBAN

Gliniany stoi w szafie dzban
pachnący żytnim podwieczorkiem.

Dzban o żółtej polewce.
W jej zwierciadle babka zwi-
zynała włosy

Dziś glazura spękana skacze
wieczornym odbiciem ognia
i dudni jego głębia pusta.

Gliniany, stoi w szafie dzban
wyschle kończy usta.



Kto ma apetyt na Tunis?

Dzielną wódz Hannibal gromiący ongiś Rzymian przewraca się pewno w grobie, „widząc” do jakiego upadku doszła jego ojczyzna Kartagina, obecny Tunis. Miał ku temu powody niejednokrotne. Potężna bowiem niegdyś Kartagina rządząca się samo-władnie na całym Morzu Śródziemnym, nie podniosła się już po wojnach punickich, a zwłaszcza

trwa po dziś dzień. Nie można bowiem mówić o pełnej niezawisłości Tunisu, skoro namiestnik Francji faktycznie przeprowadza swoją wolę, a wojska francuskie stacjonują w kraju. Politycy francuscy — co uwi-doczniło się w czasie niedawnej wizyty premiera rządu tunezyjskiego Nagiba Bourguiba w Paryżu — absolutnie nie chcą zgodzić się na ewakuację armii

rykański i monopole europejskie. Jednocześnie o prawa swe upomina się w sposób coraz bardziej stanowczy naród tunezyjski.

Podobne zmagania obserwujemy i w innych koloniach afrykańskich, gdyż Amerykanie mają „wielki apetyt” i wszędzie chcą umocnić swą władzę i wpływy. Jesteśmy więc świadkami jednej z wielkich bitew o Afrykę!

Penetracja gospodarcza kapitału amerykańskiego odznacza się wybitną agresywnością. Nakładów inwestycyjnych w Tunisie dokonują Amerykanie tylko w tych dziedzinach, które dostarczają surowców strategicznych, ponadto rozbudowują obiekty wojskowe, porty oraz strategiczne autostrady i połączenia kolejowe.

ZYSKI — LECZ CZYM KOSZTEM

Niezwykle cenne metale — kobalt i molibden, których wydobycie kontrolują Amerykanie, wywozi się bezpośrednio do USA z oczywistą stratą dla Tunisu. Jednak kolonizatorzy francuscy nie chcą bez walki zrezygnować ze swych znakomitych pozycji na rzecz trustów amerykańskich i stawiają im zacięty opór. A jest o co walczyć, gdyż zyski wielkiego kapitału w Tunisie są olbrzymie i wzrastają do zawrotnych sum. Tymczasem płace realne robotników tunezyjskich znacznie się skurczyły. Koszty utrzymania wzrosły w okresie wojennym o 21%, a płace zaledwie 5—10%.

Po uzyskaniu przez Tunis niepodległości i stworzeniu rządu narodowego z premierem Nagibem Bourguibem na czele sytuacja może i powinna ulec poprawie. Oczywiście nie osiągnie się tego od razu. Lżej jednak przychodzi trud, gdy się jest obywatelem wolnego państwa. Jeszcze lżej pracowałoby się Tunezyjczykom, gdyby mogli pozbyć się imperialistycznych „opiekunów”...

Mgr Witold ENGEL



Tunis: na pustyni przed zachodem słońca

cza po klęsce zadanej przez Rzymian w morderczej bitwie pod Zamą (202 r. przed n.e.).

Bogaty ten kraj przeżywał kilkakrotnie wielkie najazdy i podboje. W czasie wędrówki ludów zdobyli go Wandalowie, zakładając tam swe państwo — po dokonaniu straszliwych rzezi i zniszczeń. Kilka lat później Tunis zajęli Arabowie, jak zresztą całą północną Afrykę. Jego mieszkańcy musieli przyjąć mehetanizm, traktowano ich jak niewolników. Z czasem zarabizowali się zupełnie.

Rok 1881 zapoczątkował okupację francuską Tunisu, która



Młoda Arabka wyrusza z dzbaniem po wodę

PRZED 6 LATY istniało przy Chińskiej Akademii Nauk 17 instytutów, które zatrudniały 200 pracowników naukowych. Obecnie CHAN dysponuje 44 placówkami naukowo-badawczymi, w których pracuje przeszło 3000 naukowców. Do końca 1957 r. liczba placówek naukowo-badawczych wzrosła do 51, a ich personel naukowy zwiększył się do 4600 osób. (m)

MIKROSKOPIJNE ŁOŻYSKO KULKOWE o średnicy zewnętrznej... 1,1 mm — to nie żaden cud sztuki jubilerskiej, lecz przedmiot masowej produkcji. Łożysko ma trzy stalowe kulki o średnicy 0,4 mm, każde wykonane z dokładnością do 0,2 mikrona (1 mikron 0,001 mm.). Łożyska te stosowane są do budowy bardzo małych synchronicznych silniczków elektrycznych, poruszających różne mechanizmy i przyrządy o przeznaczeniu wojskowym i naukowym. Na każdym łożysku widnieje wyryta wyraźnie nazwa zakładu produkcyjnego i kraju — klasycznego kraju budowy przyrządów precyzyjnych — Szwajcarii. Dla kontrastu warto przypomnieć, że w roku 1955 znalazło zastosowanie w ZSRR niezwykle łożysko, którego średnica zewnętrzna wynosiła 6 metrów, a waga — 125 ton.

francuskiej z Tunisu i opuszczenie Bizerty, motywując to koniecznością obronno-strategiczną. Na tej płaszczyźnie trudno oczywiście myśleć poważnie o ustaleniu zasad współzależności pomiędzy Francją a Tunisiem, tym bardziej, że Tunezyjczycy nie myślą rezygnować z uzyskania pełnej niezależności.

ZAMIAST DOBRODZIEJSTW...

Tunis, podobnie jak Alger i Maroko zajmuje bardzo ważne miejsce we francuskim systemie kolonialnym. Niewielka odległość (800—1000 km morzem) od metropolii ułatwiła Francji stworzenie z tej bogatej w zasoby naturalne krajiny źródła olbrzymich zysków.

Wbrew zapewnieniom Francuzów — o rzekomych dobrodziejstwach jakie uzyskują od nich Tunezyjczycy — rzeczywistość przedstawia się zgoła inaczej. Okupanci francuscy sztucznie zahamowali proces rozwoju Tunisu. Z jednej strony podtrzymują kraj do specyficznego procesu kapitalistycznego, mając na względzie zyski europejskich trustów handlowych.

Kolonizatorzy wywłaszczyli tubylców z najlepszej ziemi — w rękach Europejczyków znajduje się 30 proc. ziemi uprawnej.

Jedną piątą powierzchni rolnej należącej do Francuzów władają cztery monopolistyczne spółki akcyjne, posiadające po kilkadziesiąt tysięcy hektarów ziemi. Wśród krajowców natomiast rolnictwo podupada.

FRAGMENT „BITWY O AFRYKĘ”

Poprzez pożyczki udzielane dawnym bejom tuniskim wielki kapitał francuski zawiązał najważniejszymi gałęziami gospodarki tego kraju. O ile jednak przed wojną imperializm francuski był w Tunisie wszechwładny i nie miał żadnego konkurenta — to po wojnie sytuacja zmieniła się. Stało się to przede wszystkim z dwóch względów. Po pierwsze: francuska Afryka północna — a więc i Tunis — jest jednym z najważniejszych punktów strategicznych, na których chce oprzeć się blok północno-atlantycki. Po drugie: Tunisiem, podobnie jak Marokiem i Algerem zainteresował się wielki kapitał amerykański, który usiłuje wyprzeć monopolistyczne spółki akcyjne francuskie, angielskie i inne.

Do walki o Tunis stają więc dwaj partnerzy: kapitał ame-

Przemysław Bystrzycki

OSTATNIE SPOTKANIE

(Fragment powieści pt. „Operacja Milczący Most”)

Zamieszczamy dzisiaj trzeci, ostatni fragment powieści Przemysława Bystrzyckiego pt.: „Operacja Milczący Most”. Dwa poprzednie ukazały się w numerach 30 i 31 „Nowego Świata”.

O tóż i rzeka. Przekraczali ją w drodze do ładowiska. Z mapy zapamiętał nawet jej nazwę: Pasłęka. W pobliżu nie było mostu, żadnego brodu nie znał, wpław bał się ryzykować, by nie zamoczyć broni. Miesiąc grał zło-tymi łuskami, łagodnie marszczył leniwy nurt. Woda przy brzegach ocieniona sosnami wysoki jak okretowe maszty, zachowywała głęboką czerń nocną.

Czuł, że opuszczają go siły, pewnie z upływu krwi. Paliko gardło, wargi miał wyschnięte na korę językiem przewracał zgęstniałą, lepka ślinę. Stał, wciągnął głęboko powietrze. Mo-że majaczył, a może rzeczywiście huknął za nim daleki strzał. Ucieła gałązka upadła pod no-gi. Gdzieś z tyłu zaszczekał pies. Biegł znowu. Pilnował brzegu, wierząc — dlaczego — że tu właśnie znajdzie ocalenie. Na rzece czerwone koła uciekły z ciemnych przybrzeży na środek i zanurzone w srebrnej wodzie zmieniały się w pas-ma błyszczących stanioli. Od-garnął z czoła zlepione włosy — daleko nie dojdzie, zwydy za-czynają nachodzić. Gdzieś się tu ukryć trzeba, gdzieś schować. Dzięki dobrej, fizycznej zaprawie, przywiezionej z Mo-nachium, i serce jak dzwon, od-skończył spory kawałek. Teraz chyba czas zabandażować spo-kojnie przedramię, zatamować krew. Opatrunek miał w tylnej kieszeni, przy zapasowej pacz-ce pocisków. Wolał podbiec



Dziewczętom tunezyjskim nie brak swobodnego wdzięku



Ulica w miasteczku zamieszkałym przez Arabów

O „śpiewanych” i ulotnych gazetach

(Dokończenie ze str. 1)

naliczono różnych awiz 65, a dla reszty XVII w. ponad 50.

Pierwszym dziennikiem „Merkuriusz Polski”

Wiek XVII był kolebką właściwego dziennikarstwa. W Polsce pierwszy dziennik ukazuje się od 1661 roku pod redakcją Jana Aleksandra Gorczyńskiego pod tytułem „Merkuriusz Polski. Dzieje wszytkiego Świata w sobie zawierający”. W okresie od 1661 — 1728 nie spotykamy w Poznaniu i Kaliszu żadnych śladów dziennikarstwa, co związane było z ogólnym upadkiem gospodarczym i kulturalnym w Polsce. W latach 1729—1764 spotykamy prasę w Lesznie, a w końcu tego wieku znowu w Poznaniu.

Z dniem 2. I. 1796 roku ukazał się za czasów pruskich pier-

wszy numer „Gazety Prus Południowych”, wychodzącej dwa razy w tygodniu, wydawanej przez jedną wówczas drukarnię w Poznaniu Deckera i Spółkę. Przeszła ona istnieć z dniem 8. XI. 1806 roku, a zamiast niej poczęła się ukazywać „Gazeta Poznańska”, wychodząca cztery razy w tygodniu. Z dniem 1. I. 1835 r. przekształciła się gazeta na pismo codziennicze, z wyjątkiem niedziel i świąt, lecz pod nieco zmienionym tytułem: „Gazeta Wielkiego Księstwa Poznańskiego”.

W lipcu 1798 roku pojawił się w Poznaniu pierwszy numer gazetki arcybiskupa gnieźnieńskiego Ignacego Krasińskiego, znanego poety polskiego Oświecenia, pod nazwą „Co Tydzień”. Poeta-biskup był naczelnym redaktorem i stanowił prawdopodobnie jednoosobową redakcję tego pisma. Historyk literatury XIX wieku Jarochowski podaje, że gazetka zawierała „głównie rozprawy treści moralno-społecznej, jak na przykład o dobroczynności, o uszanowaniu rodziców, o pie-niactwie w obrazkach obyczajowych, bajki jak „Czapla, ryba i rak”, „Wilki i baran”, „Żaby i bocian”, przekład Pieśni Ossyan, pieśń „O zaszczycie życia wiejskiego” przekładu Onufrego Korytyńskiego”. Ciekawą również jest alegoria polityczna pod tytułem „Prawdziwa powieść o kamienicy narożnej w mieście Kukurowcach, przez mistrza... Błażeja baka-łaza tamże”. Podobno w tej pracy redakcyjnej pomagał miał dostojnemu arcybiskupowi Franciszek Ksawery Dmochowski.

W roku 1884 wspomniany Kazimierz Jarochowski taką wyraził opinię o tym piśmie: „Barwa tego czasopisma była kosmopolityczna, a gdyby nie język i to język poprawny, przypominałby i zradzający zarazem pióro biskupa Warmińskiego, gdyby nie dialog między Bole-sławem Chrobrym a Kazimierzem Wielkim, nie można by z treści i dążeń pisma odgadnąć, że jest wydawane w epokę politycznego upadku Polski z in-tencją przechowania i ocalenia ducha i oświaty polskiej”.

To szacowne czasopismo miało krótki żywot, bo już w 1799 roku przestało wychodzić. Nie pozwalał już na trud redagowania pisma podeszły wiek dostojnego poety, który umierał w Berlinie 14. III. 1801 roku.

Ludwik GOMOLEC

dzień z kabiny. Rękami machał, zapaloną latarkę świecił prosto w segmenty okien sterowni. Wtedy to maszyna ruszyła znowu i znowu nierozpędzona utknęła kołami w mokrej darni.

Od lasu biegli ludzie. Prawie jeszcze niewidoczni, lecz „Rudy” wyczuł ich obecność. I od ogniska sunęła spora grupka i od tej czarnej ścieżki lasu. Wy-nurzeni niespodziewanie nacierali z ochotą.

Kasiarz zapaloną latarkę położył na kepcie trawy, odsko-czył skulony kilkadziesiąt kroków zapadł w płytkie wgłębienie terenu i w ten sposób myślał

kadłub pięściami, aż echo niby od trumny zagłuszyło wołanie: Otwórzcie, szatany przekłete, otwórzcie! Kłął po włosku, angielsku i polsku, obskakiwał na szynę dokoła, stanął przed pracującym śmigłem w takiej odległości, by piloci mogli go wi-

jeszcze kilkaset kroków, jeszcze choćby sto. Włókł nogami, chwytął się krzaków. Następnym gwałtowny ubytek sił. Co raz mniej skoordynowane ruchy sprawiały wrażenie jakby pływającego zanurzonego po pas w gęstwinie zarośli.

Krzaki skarlały, wypełzły na ścieżkę przy brzegu teren się podniósł, obsuszył, tworząc przeciwpowodziowy wał, pogłębiający rzeczne koryto. Za ostatnią samotną kepką drzew wybiegła na spotkanie polana. Nieduża, omieciana księżycową poświatą z białymi tajemniczymi hałdkami, jak olbrzymie kapelusze grzybów. Znowu majaczyły? Podchodziły wolno, posuwiste, trochę chwiejne i niesamowite, trochę rzeczywiste. Nie — to on jeszcze idzie, jeszcze wleńczy nogami. A na skraj wody, wywrócone dnem do góry błyszczały gładkie wilgotne kajaki. Czyli hałdki owo to namfoty, turystyczne namioty — kójarzył z olbrzymim wysiłkiem — do których czy dotrze, by dać mu drogę ocalenia?

Za to „Rudy” nie miał nawet tej szansy. Skoczyłby za kompanem, ale z chwila, gdy tamten padając kopnął tak boleśnie i jakby zaraz znikł pod ziemię, wolał nie ryzykować. „Redaktor” mógł się w gęstwinie przyznać z zamiarem rewanzu. Ludzie jednak nawet w opałach są mściwi. Wspólne niebezpieczeństwo nie zawsze jednocy. Kulę zaś polknąć, co za wątpliwa przyjemność. Podsko-czył więc do „Dakoty”, bił o



Rys. (2) Ludomir Kapczyński

czujność obławy, poczekał aż zwyraźniej sylwetki. Wtedy otworzył ogień. Nadbiegły trochę ukośnie, akurat na światło reflektora. Wyrzucił kolejny magazynek. Momentalnie sie-

GDY

umiejętnościom towarzyszy piękność

O Gine Lollobrigidzie — zwa-
nej popularnie Lola — włoscy
recenzenci filmowi piszą, że
„przypomina Annę Magnani i
choć może ma mniejszy od niej
temperament, wrzeka za to bar-
dziej swą delikatną kobieco-
ścią”.

Istotnie, Lola jest typową
przedstawicielką pięknej.
Kiedy w roku ubiegłym wystę-
powała razem z Burt Lancasterem
i Tony Curtisem w filmie
produkcji francuskiej pod ty-
tułem „Na trapezie”, pisano, że
„trapezu boi się podobnie jak
samolotu”. Szczególnie jednak
— jak sama przyznała — bała
się siatki bezpieczeństwa, na
którą zgodnie ze scenariuszem
rusiała trzykrotnie spadać,
przy czym nie obeszło się bez
śmichów.

W czasie prac nad filmem
„Na trapezie” Gina zaproszo-
na została do Amsterdamu na
premiere filmu pt. „Najpięk-
niejsza kobieta świata”, w któ-
rym grała rolę Liny Cavalieri,
słynnej śpiewaczki włoskiej, ży-
jącej pół wieku temu. Film
wywołał duże wrażenie. Holen-
drom podobano się szczególnie
to, że Gina sama śpiewa piosen-
ki i wyjątki operowe filmu, od-
mawiając dubbingu. Na liczne
pytania w tym względzie aktor-
ka wyjaśniła, że kilka lat te-
mu studiowała śpiew, jednak
tylko przez sześć miesięcy.

W Amsterdamie, dokąd Gina
przybyła wraz ze swoim mę-
żem Skofikiem, lekarzem ju-
gosłowiańskim, oczekiwała ją
grupa dziennikarzy. Przebieg
ich rozmowy z Lollobrigidą
miał charakter interesującej
szermierki słownej.

— Czy pani
lubi życie do-
mowe? — pytali
m. in. ciekaw
dziennikarze.
— Lubię, zwa-
żając na to, że
kiedy mogę nim
żyć.
— Oczywiście,
zapewne lubi
pani być sław-
ną?
— Podoba mi
się mój zawód.

Angielscy producenci skar-
żą się, że nie mają „gwiazd”
do obsadzania własnych fil-
mów. Począwszy od woj-
ny, następujący aktorzy pierw-
szej wielkości, wyemigro-
wali na stałe do Ameryki:
Greer Garson, Stewart Granger,
James Mason, Audrey Hep-
burn, Joan Collins, Kay Ken-
dall, Anna Neagle, Richard
Todd i wiele innych. Ostatnio
wyjechał także do Ameryki
niezrównany aktor Alec Gui-
ness, aby wystąpić obok Grace
Kelly w filmie „Łabędź” według
sztuki Mollnara.

Nie lada sensacją jest zapo-
wiedziany film „Wzgórze w
Korei”, w którym ma być uka-
zany słynny atak... bombowców
amerykańskich na wzgórze za-
jęte uprzednio przez... Angli-
ków. Zginęło przy tej sposob-
ności kilkuset brytyjskich żoł-
nierzy...

Znana przed wojną Joan
Crawford wystąpi w filmie
Franka Lloyda (twórcy „Ka-
walkady” i „Bounty”) pod ty-
tułem „Esther Costello” we-
dług powieści autora „Okrut-
nego morza” — Nicholasa Mon-
sarrata. Zestawił L. Buk.



Gina Lollobrigida, Burt Lancaster (z lewej) i Tony Curtis w filmie
produkcji francuskiej pt. „Na trapezie”

— A więc zawód, nie sztuka?
— Sztukę trudno jest two-
rzyć, ale czasami udaje się.
Dziennikarce, którym Lola
odpowiadała po francusku lub
po angielsku orzekli, że jest
ona przebiegła, ale jednocześnie
i szczerą, zwłaszcza gdy jedno
mu z bardziej natęczyliwych
dziennikarzy powiedziała:

— Złożę się, że wśród kole-
gów jest pan najmłodszym.
Młodzi zawsze są najgorzej.

Dziennikarz zarumieniał się, a
Lola śmiejąc się rzuciła mu jed-
no ze swoich omdlewających
spojrzeń. J. A.

— Czy pani
lubi życie do-
mowe? — pytali
m. in. ciekaw
dziennikarze.

— Lubię, zwa-
żając na to, że
kiedy mogę nim
żyć.

— Oczywiście,
zapewne lubi
pani być sław-
ną?

— Podoba mi
się mój zawód.

Gina Lollobrigida i Franco
Interlenghi w
filmie „La Pro-
vinciale”.



gnał po drugi pistolet. Tamci
już zorientowani skąd idzie pał-
ba odpowiedzieli w jego kierun-
ku przeciągając serią automatów
pojedynczymi strzałami broni
krótkiej. Motor uwięzionej „Da-
koti” ucichł, strzały zrzędy.
Daleko przed nim zaszczekał
pies, z tyłu ktoś jeszcze pluł
krótką zjadliwą serią.

Nie, nie da się otoczyć, ani
tak łatwo rąk nie podniesie.
Odczekał na ciszę i co sił w no-
gach poderwał się ku zachod-
niej krawędzi łądowiska. „Tu
Hryń wartował” — przebiegło
przez myśl. Wysokie, grubopie-
ne chojary, rzadkie podszycie,
pod podszyciem szeleściła ściółka.
Dalej, dalej, ile mocy, ile tchu
w piersiach! Wleciał w rów z
wodą, głęboką po pas. Za nim
sunęły cienie, słyszal szelesty,
krzyki. Goniał! Po raz pierw-
szy na tej ziemi strach chwycił
za gardło. Prawdziwy zwie-
rzęcy strach, podnoszący włosy
na głowie. Z safej siły pięścią
uderzył się w nieogolony poli-
czek. Zlizał z warg krople krwi,
ból orzeźwił jak prysznic, po-
wrócił spokój. Nie strzelał na
razie, fajerwerkami z lufy nie
chciał zdradzać kryjówki. Wo-
da sięgała do ud, zimna, by-
stra, źródłana, bijąca głęboko
spod ziemi.

Krzyki ucichły, tylko szeleści-
ły gałęzie. Zza drzew wy-
chodziły sylwetki. Pędziesiąt,
czterdzieści metrów. Teraz: dał
ognienia. Łuska odbiła od pnia
lekko uderzyła w twarz. Ucie-
piony trawy wypełnił ze stru-
mienia, chciał wstać lecz za-
raz usiadł. Noga zabolą do-
tkliwie, zdrtętała beznadziejna.
Trzaski? Jak — tak bez strzału.
Jeszcze nie. Chwyć po prostu
prozaiczny ischias, wróg zim-
nej kapieli, jedyna pamiętka
spod Arnheim. Głowę wynosił
całą z tej spadochronowej szar-
ży do wzdłużonej przez kawale-
rystów, która tyle namarnowa-
ła wojska. Jedynie podczas no-
cnej przeprawy przez wozbra-
ne wody Renu wypadł z przela-
dowanej dinghy, wyrwionej
niedalekim wybuchem artylerij

Załoga „Calypso” wydziera morzu tajemnice głębin

Biały statek nazywał się
„Calypso”. Na jego pokła-
dzie znajdowała się garstka
odważnych chłopców, pies,
wielki żarłok oraz kapitał.
ekspedycji wysoki, silny i zde-
cydowany na wszystko. Płyne-
li, szukając wielkiej przygody
na dalekich wyspach.

Widzieli żółwie olbrzymie,
na których jeździli, niezwykle
ryby w kolorze tropikalnych
ptaków, zatopione statki, któ-
re spoczywały w morzach na
kobietach z koralu. Oglądali
straszliwe dramaty rozgrywa-
jące się w toniach morskich
i byli świadkami agonii kasza-
lota ściganego przez zgraję
rekinów. Zrywali na dnie mor-
skim bajeczne kwiaty, jakich
nikt przed tym nie widział i o
jakich nie marzył. Odkryli gó-
ry podwodne wchłonięte nie-
gdyś przez fale, nieznane po-
twory głębinowe i śledzili za-
chowanie się niesamowitej ry-
by, z pyskiem przypominają-
cym chińskiego smoka.

Z wyprawy tej przywieźli
ze sobą pasjonujący film do-
kumentalny pt. „Świat mi-
czeńia”.

W GŁĘBINACH
Komendantem owego stat-
ku jest Francuz Cousteau,

który około roku 1942 wsadził
przypadkowo głowę pod wodę
i od tego czasu stał się fanaty-
kiem podmorskich wypraw,
tym więcej, że płynąc bez-
ustannie po morskich toniach,
przekonał się o dziwach ukry-

tych kilkadziesiąt metrów
głębiej.

Gdy na domiar pewien Grek
wskazał mu u brzegów Morza
Śródziemnego spoczywającą
na dnie galerię rzymską sprzed
23 wieków, postanowił obrać
sobie zawód nurka-poszuki-
wacza. Kilka lat później, po-
wrócił on na statku „Calyp-
so” wydobyl z zatopionego o-
kreту nieprzebrane ilości sta-
rożytnych amfor i dzbanów,
kładąc podwaliny pod najnow-
szą gaję wiedzy — archeolo-
gię morską.

Z kolei dokonał wielkiej wy-
prawy na Morze Czerwone, a
w roku 1954, gdy statek wszedł
w skład oficjalnej wyprawy
subsidiowanej przez rząd fran-
cuski, Cousteau zorganizował
rejs na Ocean Indyjski. Eks-
pedycja zatrzymała się na
wyspie Aldabra na północ od
Madagaskaru, gdzie uczeni
dokonywali badań fauny i
flory, a Cousteau ze swoja
garstką towarzyszy poczał
przemierzać głębiny morskie.

W ten sposób narodził się po-
mysł wspaniałego filmu pod-
morskiego „Świat milczenia”,
który następnie zdobył jedną
z nagród w dziedzinie filmów
dokumentalnych na Festiwa-
lu w Cannes.

Z wypraw na Morze Czer-
wone i Ocean Indyjski przy-
wiozł ze sobą 24 tys. m ko-
lorowej taśmy filmowej; za-
ledwie jednak dziesiątą część,
a więc tylko 2400 m złożyło się
na pełny seans filmowy.

Najdrobniejsze szczegóły
techniczne wyprawy zostały
dokładnie przemysłane i zre-
alizowane, aby można było
bez przeszkód „kręcić” pod
wodą. Przede wszystkim skon-
struowano siedmiokilową ka-
merę filmową z plastiku, na-
peżoną motorkiem elektrycz-
nym i wyposażoną w optykę
do naświetlania filmów kolo-
rowych. Nie dość na tym: z
uwagi na konieczność kręce-
nia na znacznych głębokościach
gdzie nie dochodzi światło
dzienne, instalowano pod wo-
dą lampy elektryczne o sile
6 tysięcy woltów, zastępujące
w sposób niezawodny normal-
ne jupitery filmowe.

Zrezygnowano wreszcie z
przestarzałych skafandrów, a
operatorzy i aktorzy posługu-
wali się scooterami elektrycz-
nymi w kształcie torpedy po-
ruszanymi śrubą. Mechanizm
oraz ilość energii pobieranej
przez oryginalny hełm po-
zwalały na manewrowanie
pod wodą przez dwie i pół go-
dziny. Słowem: zmontowano
na dnie morskim prawdziwe
studio filmowe.

Królestwo ryb
Co mówi Cousteau na te-
mat łuskowatych mieszkań-
ców podmorskiego świata.
Według niego są one płochę,
lecz bardzo szybko oswajają
się z widokiem człowieka i
przyswajają się do jego
obecności. Niejedne nawet
spośród ryb towarzyszyły
członkom wyprawy w podmor-
skich rejsach, płynąc obok
nich. Jedno wszakże trzeba
podkreślić: Cousteau i jego
towarzysze postanowili nie
atakować żadnej ryby. Uży-
wanie broni pneumatycznej
było zakazane, chyba, że gro-
ził im nagły atak rekina,
bądź groźny płaszczyk. Współ-
żyjąc ze zwierzętami morski-
mi na stopie pokojowej, eks-
pedycja filmowa potrafiła wy-
drzeć głębinom moc tajemnic
i uwiecznić na taśmie dziw-
y, które wkrótce będziemy
mogli oglądać w kinach, gdyż
film został przez Polskę za-
kupiony.

DALSZE PROJEKTY...
Cousteau nie zadowala się
odniesionym sukcesem. Już

„Czyżby już?”

MAX COHEN: „O czym nie wie
majster”. Przekł. z ang. J. Mey-
szowicza. W-wa 1956, Cz. s. 277, zł
8,40.

W pamiętnikach, obejmujących
25 lat życia i pracy, stary robot-
nik stolarz i cieśla opowiada o do-
świadczeniach i bycie robotników
drzewnych w Anglii poczynając od
pierwszych kroków w charakterze
uczni. Brutalność majstrów, tę-
pota i wyższy właściciel, groza
bezrobocia w latach kryzysu, mar-
notrawstwo i korupcja przedsię-
biorców budowlanych w okresie
II wojny światowej — oto główne
tematy tej książki napisanej z hu-
morem i umiejętnością narracji.

planuje nową ekspedycję:
tym razem popłynie do brze-
gów Gujany Francuskiej. W
tej chwili pracuje nad pro-
jektem nowego hełmu
podwodnego o kształcie „pły-
wającego talerza”. Będzie to
ogromny dysk aluminiowy,
pozwalający na zanurzenie
się do 600 m w głąb morza.
Śmiały badacz francuski
wzorował się m. in. na ba-
tygrafie prof. Piccarda, lecz
wprowadził do swego modelu
szereg dodatkowych udosko-
naleń, umożliwiających więk-
szą zwrotność oraz lepszą wi-
doczność. A w głowie ma już
pomysł dalszej ulepszonej
konstrukcji, która umożliwi
mu zanurzyć się na głębo-
kość 2 tysięcy m.

opr. M. J.

To i owo

W związku z sukcesem, odniesio-
nym w Baltimore przez film „Na
trapezie”, administracja municy-
palna tego miasta postanowiła na-
zwać imieniem bohaterki filmu —
Giny Lollobrigidy, orcheidr wyho-
dowaną w ogrodach miejskich. —
Burmistrz miasta Maryland wy-
stał samolotem do Paryża bukie-
t orcheidr „Gina Lollobrigida”, któ-
ry został wręczony przebywającej
tam artystce. (J. A.)

Gina Lollobrigida zaprzeczyła w
Paryżu, jakoby oczekiwała dziec-
ka. Aktorka została zapytana o to,
na skutek rozpowszechnianych w
Londynie wieści w czasie nakre-
ślenia filmu „Notre Dame de Pa-
ris”, gdzie gra wraz z Anthony
Quinn.

„Gdyby było tak naprawdę — po-
wiedziała aktorka dziennikarzom
— to z radością zwołałabym nor-
malną konferencję prasową, aby
zawiadomić o tym szczęśliwym wy-
darzeniu”. (J. A.)

Hollywoodzki reżyser filmowy
Richard Brooks, czyni przygoto-
wania do nakręcenia filmu na te-
mat cesarza Nerona. Zapytany czy
spodziewa się po nowym obrazie
sukcesu kasowego, Brooks odpo-
wiedział: „Film tego rodzaju po-
siadać winien trzy składniki — Bo-
ga, sex i napięcie. Połącz to ra-
zem, a powstanie z tego szlagier
dolarowy!” Któż śmiałyby wątpić
przy takim zestawieniu? *

Amerykańskie władze podatko-
we zwróciły się do Charlie Chapli-
na z żądaniem spłacenia sumy 1.100
tysięcy dolarów z tytułu domiaru
podatku dochodowego za rok 1953;
słynny aktor filmowy mieszka o-
becnie w Szwajcarii, po opuszcze-
niu Stanów Zjednoczonych w 1953
roku.

Na lotnisku stolicy Filipin — Ma-
nil, spotkać można olbrzymi na-
pis następującej treści: „Prosimy
całować się w porę!” Prośba ta
zwrócona jest do podróżnych, od-
kad poczyniono doświadczenia, że
zbyt długie pocałunki i uściski po-
wodują stałe opóźnienia w regu-
larnym odlocie samolotów.

Ten „strój” nie przedstawia, by-
najmniej, kobiecego ubioru na
rok 2.600, lecz ostatni model udo-
skonalonego skafandra ze specjal-
nego plastiku, przeznaczonego dla
osób, narażonych na skutki nie-
bezpiecznego promieniowania ato-
mowego. Cóż z tego, skoro kosztow-
ny ten ubiór nie odpowiada, po-
dobno laborantom, zwłaszcza
młodszym.

(„Tempo”)

tematy-schematy

Pewien satyryk znany z schematu Satyrycznego szukał tematu. Ukląć by ukląć chciał Sąd niby to — Ale ryzyko. I PIW by uklął za mdle fabuły — Temat zbyt czuły. Stuknąłby także centralny zarząd — Leczyć się obraża... Tu temat śliski, tam temat śliski. A więc w koleżance chował pociski. A jeśli wyjął pocisk z koleżanę. To ci go mierzył na... chuliganów. Bo chuligani, to taki temat. Który pasował w sam raz mu w schemat. A więc satyrę pewnej niedzieli. Posłał redakcji. Przyjęli.



Był raz poeta, co jak poeci. Kiedyś w natchnieniu pierś sobie klecił. Właśnie chciał klecić wiersz o miłości — Drobnomieszczańskie pozostałości. Bo miłość, słowik, — jakże być może. A więc napisał, lecz o... traktorze. Bowiem traktory, to taki temat. Który pasował w sam raz mu w schemat. Posłał rękopis. W mig przeczytali. Wydali.

Był pewien autor spec-scenarzysty (Ponoć napisał scenariuszy trzysta). Właśnie się głowił skrywając zamach. Gdyby na przekór coś o Marsjanach? — Marsjanie? Kosmos? To zbyt naiwne. Niepozytywne. Myślał, przemyslał, wreszcie zapłakał. Piszac scenariusz lecz o... kulakach. Bowiem kulacy to taki temat. Który pasował w sam raz mu w schemat. Kulacy — traktor — i chuligani. Więc nakreślił. Brrr! Ciemne Łany.

Jak z tego widać — źle, gdy schematy. Ograniczają twórcze tematy.

Rusard Kuiański

Fraszki

O personalnych

Trudno im zejść z linii. Poufnych opinii.

O nieporządkach na placach budowy

Gdzie bałagan w głowie — Tam i na budowie.

Pewnemu pisarzowi

Gdy chcesz wypłynąć na szersze wody. Odlej z utworów cysternę wody.

Literaci-kucharze

Czy już wiecie, że większość pisarzy. Poprzestaje na kucharskim losie? Nie wierzyć? A iluż się smaży. W swoim własnym idyllicznym sosie?

Bołaczka wycieczkowiczów

Ech, boli serce, gdy w lesie. Pijackie wrzaski wiatr niesie.

O pechowych turystach

Nim ruszyli na szlaki. Wydarzył się fakt typowy — Utknęli nieboraki. Na jednej z dróg. Urzędowych.

Asekurant

Ma biblię, talmud, keran i „Kapitał”. Lecz spytajcie go, czy któreś z nich czytał!

ANECDOTY

Kiedy Moliere był ciężko chory, nie chciał nawet słyszeć o lekarzu. Wzywano więc lekarza bez jego zgody. Gdy przyjaciele oznajmili Moliere'owi jego przybycie, zdenerwowany mistrz krzyknął:

— Powiedzcie mu, że nikogo nie przyjmuję. Jestem ciężko chory. (b)

Gdy pytano Marka Twaina, jaka jest różnica między mężczyzną a kobietą, odpowiedział:

— Gdy mężczyzna chce kogoś o coś prosić, zostawia się: „Jak mu to powiedzieć?” Gdy kobieta znajduje się w podobnym położeniu, myśli: „Jak mam się ubrać?”. (b)

Na balu maskowym przed stawiono Napoleona III damę z bardzo dużym dekoltem.

— Jestem panną morską — powiedziała.

— Prawdopodobnie przy odpywie — odpowiedział Napoleon. (b)

Tkaniny zawsze modne



Czytelnikom naszym przedstawiamy dzisiaj jeszcze jeden model sukni na ciepłe dni sierpniowe, wykonany według mody włoskiej, dla niewiast od lat 16 wwyż, z tym — oczywiście, że noszenie jej warunkuje zachowanie kształtnej linii, zwłaszcza piersi. Suknia, wykonana z płótna w pasy (błękitne z białym). Dekolt — romby z przodu, z głębokim wycięciem na plecach. Pomysł „nowy” i powabny — to guziki, obciążone błękitnym płótnem, umieszczone na białych paskach.

(„Noi donne“)

Janusz Księski

ZAZDROŚĆ

Jad zazdrości sączył się kropelka mi do mego osamotnionego, męzowskiego serca. Na próżno wma- wiałem sobie, że to niskie uczucie nie licuje w żadnym wypadku z godnością osobistą człowieka, bądź co bądź niegłupiego i uważanego ogólnie za rozsądnego.

Zaledwie bowiem metodą usilnej perswazji i przypomnieniem wszystkich zalet mej współtowarzyszki życia zdołałem na chwilę uciszyć to przyziemne uczucie, wynikające z przerwania poczucia własności osobistej, przed oczyma stawał mi natychmiast list córceczki.

„Kochany Tatusiu — pisała dziesięcioletnia Danusia. — Na wczasach czujemy się bardzo dobrze. Wszyscy zachwycają się Mamą. Mamusia ma codziennie inną sukienkę...”

Te niewinne na pozór słowa sprawiły, że natychmiast to drugie — gorsze „ja” dawało znać o swym istnieniu.

„Stroi się, widzisz! — szeptało. — A dla kogo?”

„Wszyscy się nią zachwycają!!! No, pewnie — codziennie inna toaleta. A kobieta przystojna i co tu dużo mówić — ładna.”

Wprawdzie zawsze była co najmniej bez zarzutu, ale lichy nie spi...

Po trzech dniach duchowej rozterki, wzięłam trzy dni urlopu i pojechałam do Polanicy.

Zona przywitała mnie z nieukrywana radością, ale moja czujność, opudzona listem córceczki i podsycona na nowo efektywnym ubiorem, w jakim ją zastałam, nie osłabła. Gdy jadły śniadanie, rozglądałam się bacznie dookoła jadalni. „Kto też może być moim ewentualnym rywalem” — myślałam. W najbliższym sąsiedztwie widziałam jednak same kobiety. Wystrój, wymalowane, hałaśliwe, ogładywały mnie ze wszystkich stron bez najmniejszego zażenowania.

Podczas obiadu ta sama sytuacja. Tyle, że toalety inne. Popołudnie spędziłam na dłuż-

NARZECZENI

Staszek wymawia Oleńce:

— Nie zapieraj się, fałszywa niewiasto! Wczoraj widziałem na własne oczy, jak szłaś z innym do parku!

Oleńka odpowiada:

— Tak, a więc wierzysz własnym oczom więcej niż mnie? (b)

USPRAWIEDLIWIENIE

— Nie gniewaj się, najdroższy! Przychodzę tak późno, bo miałam pilną pracę w sklepie.

— No, to jeszcze całe szczęście, że ci się nic złego nie stało. Przed dwoma godzinami telefonował twój szef, że cały sklep się spalił... (b)

NIC DZIWNEGO

— A więc oskarżony o godzinie 3 nad ranem dostał się do mieszkania sąsiada. Co oskarżony tam robił?

— Byłem pijany i sądziłem, że to jest moje mieszkanie.

— No, dobrze, ale dlaczego w chwili, kiedy nadeszła gospodyni, oskarżony schronił się przed nią do kuchni?

— Bo myślałem, że to jest moja żona. (b)

Z ROZMYŚLAŃ MALŻEŃSKICH

On: — Chyba byłem skończonym bałwanem, gdy się z tobą żeniłem.

Ona: — A ja chyba taka zakocha na, że tego nie zauważyłam.

Andrzej Napierała

Sytuacja na Wschodzie

Gdy w Egipcie znieśli Okupację kanału, Lew brytyjski ryknął: „Że ma... wody mało.”

Kobieta-kierowca

Umiejętności jej nieco zwięź: Najlepiej kieruje... mężem.

Witold Degler

Fraszka o szkleniu

Tam gdzie pęka mił — nie pomoże kit.

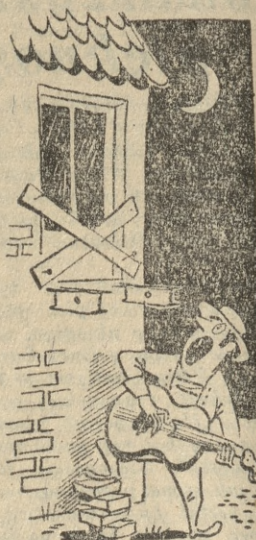
Przy kiosku

„Świat” chcesz zdobyć (w cudzysłowie) — ale kioskarsz figle płać: „Już sprzedany — znów odpowie.”

W tym tygodniu — koniec... Świata”

Janusz Sauer

TRUBADUR



Noc była ciemna, jakby cały świat pod skrzydła wronie wpadł.

Tylko trubadur pod oknem panienki śpiewał na szczęście licząc:

„O wyjdź na balkon dziewico...”

Ona nie wyszła, choć miłością płonął.

Nie wyszła, bo dom nie miał... balkonu.



„CARAMBA!”

według

„Eulenspiegel”



Proszę przyciąć skrzydła à la od-rzutowiec...

Rys. Verdini



Rys. Oskl

— Popatrz no, tam stoi pigmej!

Z mongolskiego folkloru

Opowiadania o Belin-Sengu

Nie ma w Mongolii człowieka, który nie uśmiechnąłby się na wspomnienie nazwiska Belin-Senga. Belin-Seng to popularny bohater mongolskiego folkloru. Symbolizuje on humor i powagę, zrzeczność i przebiegłość, mądrość i sprawiedliwość. Fantazja ludowa wcieliła w niego wszystkie wybitne cechy charakteru narodowego — radość życia, wiarę w swoje siły, nie gasnącą energię i zdrowy humor.

Porcja dla ośła

Wczesnym rankiem przejeżdżał obok rzeki Nojon i zobaczył na brzegu Belin-Senga, który, siedząc w kucki, pił w skupieniu herbatę. Wracając wieczorem do domu Nojon znowu zobaczył Belin-Senga siedzącego na tym samym miejscu i pijącego z kubka gorącą herbatę. Nojon postanowił zakpić sobie z Belin-Senga.

— Powiedz mi, czy zostało w rzece jeszcze trochę wody? — zapytał z uśmiechem. — Bo ja również chciałbym się napić.

— Mogę cię uspokoić — odpowiedział Belin-Seng. — Od rana piję bez przerwy, wielbiąc przechodząc i pił, jelił pił, kosa piła, baran pił... i jeszcze dla ośła trochę pozostało.

Kto pierwszy się upije

Dwaj mnisi znaleźli na drodze bukłak napelniony winem. Każdy z nich zaczął zapewniać, że to on pierwszy zobaczył bukłak i że powinien on należeć do niego. Mnisi tak się zacie-trzawili, że zaczęli się bić. Podszedł do nich wtedy Belin-Seng. Gdy dowiedział się o przyczynie bójkę między mnichami, zaproponował:

— Pozwólcie rozstrzygnąć spór w następujący

sposób. Niechaj wino bierze ten, który pierwszy się upije.

— Ja — pospiesznie rzekł pierwszy mnich — upijam się po jednym tyku!

— A ja — wykrzyknął drugi — upijam się nawet zapachem wina!

— A ja jestem już pijany, gdy tylko pomysł o winie! — powiedział Belin-Seng zabierając bukłak z winem.

Przełożył z rosyjskiego Fr. Swarzyca